

# ROMANS MALAJSKI

Mony Brand — Teatr Nowy w Poznaniu

## LESZEK PROROK

Teatr Shawa rozbił swego czasu konwencję wszechwładnej akcji. W większości utworów tego pisarza ważniejsze jest nie samo zdarzenie dramatu, lecz to, co mogą o nim powiedzieć różni bohaterowie sztuki. Stąd dyskusyjny charakter tej dramaturgii i wysunięta ponad wszystko rola dialogów.

Podobnie u Mony Brand. Zdarzenia, które zawiązują węzeł dramatu tego mocnego oskarżenia praktyk kolonialnych na Malajach, dzieją się poza sceną. Na widownię docierają w postaci reakcji i refleksji działających osób. Czy wychodzi to na dobre sztuce, która za zadanie postawiła sobie oskarżenie ludności malajskiej i grabieżcy białych plantatorów?

Myślę, że tak. Struktura tego typu wysunięta na czoło problem, który w natoku wydarzeń zmasi by na plan dalszy, a który oskarża system kolonialny równie głęboko, jak bezpośredni obraz terrorku i represji na ludność malajskiej. Chodzi o krańcowe stopień poczucia moralnego, jakie nie uchronie ogarnia plantatorów. Ten właśnie problem stanowi główny wątek sztuki.

Młoda dziewczyna londyńska przybywa na Malaje do narzeczonego, który nabył tu plantację kauczuku. Krystyna nie ma pojęcia o istocie sytuacji kolonialnej, stąd też jest pierwszego dnia w domu przyjaciół plantatorów przedsiębiorczych i bezwzględnych, zaskakują ją rzeczy niezrozumiałe, odradę budzą w niej przechwałki o ilości zastrzelonych tubylców i ostrym, koncentracyjnym reżimie pracy na plantacjach. Niepokoi ją narzeczonemu, akceptujący bez sprzeciwu ten stan rzeczy. Krystyna wykazuje dużo dobrej woli, by zrozumieć „punkt widzenia“ plantatorów. Popycha ją zresztą w tym kierunku gorąca miłość do Roda. Uczciwość widzenia i sądu odzywa się jednak raz po raz ze wzmącoaną siłą.

Tymczasem wypadki obnażają coraz bardziej mechanizm kolonialnej okupacji, malajscy guerrillas biorą odwet na okrutnym plantatorze, narzeczonemu okazuje takie same stopień poczucia moralnego jak inni, zaś serdeczna przyjaciółka Krystyny i go spodni, Joyce, wymusza, że się do wytrwania w oszałamianych domach, wśród niechętnych, wrogiej dżungli, dodaje białym damom obok nadziei na zysk z gumy, nienawiść do wszystkiego co malajskie, owoc ich kolonialnej egzystencji. Po ostatnim wstrząsie, zaborstwie służącego Malajczyka z ręki narzeczonego, Krystyna wie już, że jedyną słuszną drogą jest dla niej niezwłoczny powrót z plekta ludzi opętanych żądzą zysku i przekonaniem o swej wyższości i bezkarności.

W sztuce australijskiej pisarki Mony Brand Malaje są za sceną. Uznawia je obraz dżungli polyskującej barwnie przez trzcinowe przesłony okien pomysłowej dekoracji Zb. Bednarowicza. Na scenie przeciwstawia dia społeczeństwa białych i jedynym reprezentantem Malajów jest stający Seng Lee, równorzędny z Krystyną bohater tej mocnej, wstrząsającej wyrazem sztuki.

Na sugestywności prainscenizacji poznańskiej zawazył dodatkowo fakt, że w wyrównanej na ogół obsadzie kreacje obu tych postaci (Aleksandra Konciewicz i Aleksander Sewruk) wysuwają się zdecydowanie na czoło, wspierając, z dobronudnym pospólnie, a przecież bystrym w ocenie mo-

ralnych wartości kolonializmu i na swój sposób tragicznym pijańką Giffordem (Zenon Burszyski). Postać ta, nierównie ważniejsza w architekturze sztuki, niż z jej udziału w wypadkach wynika, wyraża szereg poglądów autorki. Podawane szczerze w otoczeniu sarkazmu i kpiny, wybuchają w finale szczerym bólem uczciwości za słabą i bunt przeciwko słu, dość jednak silnej by je trafnie ocenić.

Cechą wspólną przodującej trójki artystów jest głęboka prawdziwość ich gry. W tym czasie gają się różnice. A. Konciewicz znalazła szczęśliwe w proporcjach połączenie wdzięku i świeżości wrażeń młodej dziewczyny z męką najgłębszych rozczarowań, zawodu, jaki sprawia uczciwej Angielce rola imperium w koloniach. Artystka podbiła widownię swobodą; uznała zyskał wykształcony, dojrzały gest, a nade wszystko bogaty w modulacjach głos, szczególnie sugestywny w finale.

Postać człowieka, którą abudował Al. Sewruk dominuje nad przedstawieniem. Niebywała jest postać Malajczyka, która ma uosabiać cały naród, oddać jego cechy i jego położenie, postać utkana z monosylab, milczenia i powściągliwości. Wyrazista wymowa Seng Lee leży właśnie w dłoń ruchliwego człowieka, który wótpochylny drobnymi kroczkami przemierza scenę, wszystko widać, rozumie, znosi — lecz milczy. Seng Lee, najlepsza chyba z poznańskich kreacji Sewruka, ukazuje także to, co jest cechą wewnętrzną obojga pozytywnych bohaterów Mony Brand. Nie ma w nim nienawiści do człowieka. Nie utożsamia plantatorów z Anglią. Gdy na minutę przed samodzielną ucieczką żywy Krystynie szczęścia, czujemy, iż żywy go wszystkim takim jak młoda dziewczyna Anglikom.

Czy Sewruk gra mimiką? Wydaje się, że nie, gdyż rysy twarzy zniemochomiły, ścigająca je obawa i konieczna czujność. Z rzadka rozluźniają się w rozmowie z Giffemczy Krystyna, raz w ironicznym słowie, które wymyka się w obecności pani domu. A jednak przez cały czas Sewruk gra. Stępienie rysów to też jest mimika.

Kilka szczegółowych uwag należy się trzeciej z czołowych kreacji sztuki, Giffowi. Udane występy Burzyńskiego w „Domu na Twardej“ oraz „Balladach i romanach“ zapowiadały otwórcę o znacznych możliwościach i dużym wyrobieniu. Nowa rola pięknie te zapowiedzi potwierdziła. Burzyński dokonał rzeczy trudnej. Chłodna analiza postać Giffa winna się skończyć ostrym osadem charakteru, który dla braku siły tkwi w sytuacji, jaką sam potępił. Jest to zresztą jedyna w sztuce postać o brakach w psychologicznej motywacji postępku. Dlaczego Giff jest taki? Co go trzyma na Malajach w dwuznacznej roli? Nie wiemy. Odtwórca nadał pianicy tyle ludzkiej, prawdziwej treści, że szamotanie tego człowieka wstrząsa do głębi.

Jak wspominałem cechą udanego przedstawienia jest wyrównanie poza drobnościami poziom gry. Brak miejsca nie pozwala zająć się bliżej wysiłkami Wł. Głabika, B. Janiszewskiej, R. Ostromeckiego i innych. Niemało o każdej z ról można by powiedzieć.

Sukces „Romansu“ zawdzięczamy obok walorów sztuki w przeważającej mierze gościnnej inscenizacji krakowskiego reżysera, Ireny Babel, laureata państwo-

wej nagrody artystycznej. Reżyseria ta umiała wydobyc z osady widać, potrzebne dla efektu wartości. Umiała sytuacje rysować jasno, celowo i konsekwentnie, bez przeciągania, s dbałością o kontrasty atmosfery. Umiała wreszcie każdą z postaci przedstawić niezagłuszoną przez innych, co gromadzie ludzką ukazuje w realistycznym odbiciu wielości działających na człowieka pobudek i zjawisk.

Poruszając niejednokrotnie na tych łamach sprawy słabości artystycznych scen poznańskich, do szukałem się ich przyczyny również w anemii lub uwładzie odcinaka reżyserskiego. Ostatnie przedstawienie w Teatrze Nowym na swój sposób potwierdza tę tezę i prowadził do wniosków, poucza bowiem, iż niemałe potencjalne możliwości, tkwiące w naszym zespołe, nawet po liczniejszych w tym roku niż dawniej ubytkach, rozwinąć może doświadczone, śmiała i twórcza reżyseria. Należy zatem zapełować do kierownictwa teatrów, by po tak udanym starcie w sezonie 1955/56 korzystało szeroko z możliwości reżyserii gościnnej. Praktyka ta, niezależnie od doraźnych korzyści i efektów, posiada doniosłe wychowawcze znaczenie dla pomysłowego rozwoju miejscowego środowiska teatralnego, a tego przecież — z obu stron rampy — jednakowo gorąco sobie życzymy.

Jechaliśmy niedawno temu parę godzin pociągiem. Jedna z towarzyszek podróży wiozła jedynaka siedmiolatka, który miał iść po raz pierwszy do szkoły, druga wsiadła do przedziału z dwiema dziewczynkami w wieku 10 i 13 lat.

Z miejsca zaczęła się dyskusja.

— Janeczek, to bardzo zdolne dziecko — przedstawiła synka pani w zielonej chusteczce. — Przeczytał co tu napisane... Taki szkrab a już czyta jak stary... Janeczek dziesięć wysylabizował patrzę na wskazaną tabliczkę... „Dla niepalących“.

— Mamo, a dlaczego ty palisz? — Ha, ha, ha — zaśmiała się perłście matka. To tak sobie napisano, ale kto chce może palić...

— A dlaczego może palić?

— Bo mamusia za ciężko zapracowane pieniążki kupiła bilecik, to wolno jej robić co zechce.

— A jak ja będę dorosły, to też będę palił? — dopytywał się chłopiec. — Jurek mówił, że jego tatuś nie pali, bo to niezdrowo...

— Ale za to pije jak smok — ucięła dyskusję matka i zaczęła szeroko rozwodzić się nad złymi cechami charakteru jakiegoś inżyniera B., sąsiada z pierwszego piętra.

— A Jurek mówił o moim tatusiu, że safundula i siedzi pod pantoflem — niezmordowanie podtrzymywał rozmowę Janek. — Co to znaczy safundula? Jak się siedzi pod pantoflem?

Matkę poniosły nerwy. — Jurek, to wstrętny chłopiec, nigdy go więcej na próg domu nie puszczę.